



BARCZYK:

Szmitlichowski zwięździe żongluje metaforami i aforyzmami, nie unikając soczystości wypowiedzi.
STRONA 2



PACKALÉN:

Nie chodzi o to, żeby z dziecka urodzonego czy wyrastającego w Szwecji na siłę robić Polaka.
STRONA 3



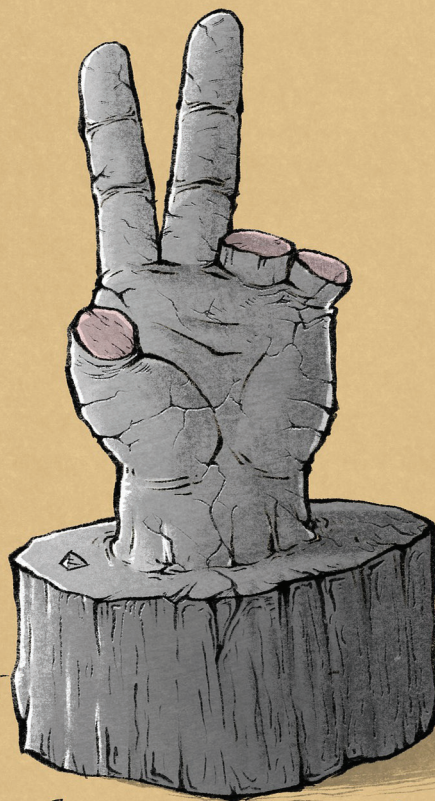
WINNER:

Pierwszą fascynacją Martina były prace Boscha, nieraz nazywanego prekursorem surrealistyki.
STRONA 4

ÄNTLIGEN

Zwycięstwo, ale nie nokaut.
Po 8 latach dewastacji demokracji w Polsce i rządach Prawa i Sprawiedliwości, zjednoczona prawica musi oddać rządy demokratycznej opozycji. To wiadomość bardzo dobra, ale październikowe wybory pokazały także, że nadal ponad 40% Polaków gotowa jest akceptować autorytarne rządy.

KOMENTARZ POWYBORCZY
s.5



AMA DENTAL
nowoczesne centrum stomatologii w Sztokholmie. Naszą misją jest zapewnienie pacjentom najwyższej jakości naszych usług dentystycznych z zachowaniem maksymalnego komfortu oraz miłej i przyjaznej atmosfery.

ZAPRASZAMY!

☎ **073-7348537**
Skarabacken 11, 121 48 Johanneshov
info@ama-dental.se | www.ama-dental.se
ZAPRASZAMY!



GABINET DENTYSTYCZNY

pogotowie bólowe
konsultacje, chirurgia, protetyka,
diagnostyka,
higiena, usuwanie kamienia,
wybielanie - stomatologia
zachowawcza z endodoncją



Eurotand klinik

Nynäsvägen 319

122 34 ENSKEDA

Tel: **08 284 482**

Mobil: **0720 22 55 80**

eurotand@gmail.com

Pomoc w nagłych wypadkach



I MÅNKARBO AB

Sprzedż wędlin i mięsa wieprzowego (póltusze), baraniny i dziczyzny.

Mięso szwedzkie od okolicznych rolników i myśliwych.

Produkcja wędlin według polskich receptur i rozbiór we własnej ubojni w Szwecji.

Dowóz na adres na terenie Sztokholmu i Uppsala län. Wysyłka DHL na teren całej Szwecji.

www.mankarbocharkuteri.se
info@mankarbocharkuteri.se

:DR. DENTAL

TWÓJ ZDROWY UŚMIECH TO NASZA PASJA!

Nasz doświadczony zespół lekarzy dentystów oferuje kompleksową opiekę stomatologiczną, w tym zabiegi estetyczne, leczenie kanałowe, implanty i wiele więcej.

ZADZWOŃ I UMÓW SIĘ JUŻ TERAZ!

☎ 010-585 22 30

✉ info@drdental.se

🌐 www.drdental.se

Klinika mieści się 50 m od stacji pendeltåg i metra Odenplan.



Lubię czytać Andrzeja Szmlichowskiego. Jego nasłuch świata, to jak penetruje to co nieoczywiste, jest mi bliskie. Podziwiam go za to, że z intelektualnym samozaparciem drąży głębię znaczeń, czujny przy tym by nie dać się złapać w pułapkę łatwych ślizgów przez symbole i sensy.

Fragment większej całości Szmlichowskiego

Ma naturalną potrzebę wysławiania się, ma ogromną łatwość pisania. Pozwala mu ona rejestrować wnikliwe myśli, które produkuje na pęczki ale i zachęca do nadmiaru słów. Szmlichowski zręcznie żongluje metaforami i aforyzmami, nie unikając soczystości wypowiedzi. Ma przy tym muzyczne poczucie rytmu Jordana. Ile by słów nadatku nam nie zaferował, z lubością podążam tropem jego powagi ale i jego zabawy: w słowa, znaczenia, narracje.

Nie wstydi się egzaltacji. Nie wchodzi do jednej rzeki, zanurza się w wielu strumieniach świadomości, a że ma dar relokacji i jasnowidzenia, to owoce jego wyobraźni a i liczne doświadczenia potrafi nam zgrabnie przekazać nanosząc na papier kolejne robaczki liter.

W znakomitej przedmowie do jego ostatniej książki „Fragment większej całości” Małgorzata Szafrąńska pisze:

Jest utkana ze wspomnień, okruszków autobiografii, snów, wierszy, przeżyć wizyjnych, doświadczeń w pracy jasnowidza. (...) Autor w teraźniejszy zapis wmięszal stare notatki i dawne zapisy liryczne, pokazując tym samym aktualność przeszłości, która nie daje się ani wchłonąć ani przezwyciężyć (...) Autor, osaczony przez autobiografię, która sam poniekąd stwarza na nowo, selekcyjując fakty, nazywając je i oceniając, pyta: jak żyć?

Zaiste, brzmi to groźnie.

Bez obaw. Jest fascynująco.

Przesłanie autora, adresowane zwłaszcza do ludzi już niemłodych, jest proste:

„Utrzymuj radość i pogodę ducha, a nowe skrzydła ci wyrosną. Tylko latanie musisz sobie przypomnieć”. (s.24).

Autor wiele mówi o starości, jest niczym Paolo Sorrentino w znakomitym filmie ukrytym pod tytułem „Młodość.” Starość jako taka, Szmlichowskiego nie powala, nie przstrasza, potrafi się nią bawić w...młodość. Choć o młodzieńczą egzaltację trudno, z braku... laku.

Dużo w jego pisaniu jest o Bogu. Nie bez kozery czerpie z Borucha Spinozy, ceni jego umowę z Bogiem, który mówi Boruchowi: „Chcę żebyś poszedł w świat i cieszył się swoim życiem. (...) Przestań we mnie wierzyć! Wiara to wyobrażanie sobie a ja nie chcę żebyś we mnie wierzył, chcę byś mnie czuł. (...). Jeśli chcesz mnie chwalić, wyraż to radością z istnienia! Bądź wierny sobie”. (s.28 i 29).

I co na to dictum Borucha nasz teolog Andrzej?

Ano powiada tak: „Jak się czyta takie słowa, to człowiek czuje się jak po burzy, kiedy ozon w powietrzu buszuje.” (s.29).

Mistrz Andrzej, jak przystało na „emerytowanego teologa”, zmagają się z wiarą i niewiarą. Powiada: „Nie wierzyć można na różne sposoby, ateizm ateizmowi nierówny. Jak wiara wierze”. (s.116). I konstatuje za Leszkiem Kołakowskim:

„Religia jest sposobem, w jaki człowiek próbuje życie jako nieuchronną porażkę.” (s.117)

Lubię czytać ludzi, którzy nie wytykają mi braku jedynie słusznego wyjścia z mojej osobistej matni wiary i niewiary. I nie dają mi do zrozumienia, że widocznie nie dostąpiłem łaski w postaci mocy zawierzenia.

Autor Andrzej chętnie dzieli się z Czytelnikiem swoimi rozmyślaniami. Optymizm, pesymizm, prawo i jego naruszanie, szukanie prawdy, sens i zwątpienie, ... name it. Pisze mądrze, dosadnie, choć czasem, na tkaninę mowy potocznej nawleka komunały, wytacza głązy natręctwa filozofa wieczorową porą – ale co tam! Czyny to wiarygodnie i zgrabnie, komunikuje się ze mną tak bym i ja potrafił wybić się z marazmu bezmyśli i mógł zabrać się z tym pociągami. Dzięki Autorze za dodawanie otuchy w moich staraniach, by dociec prawdy.

Dociec się nie da, dociekać trzeba.

Andrzej Szmlichowski jest naturalnym filozofem. To znaczy, że jego sposób oglądu świata automatycznie jest nastawiony na kwestie podstawowe.

„Myślę sobie tak, jeżeli musiałbym się za czymś opowiedzieć, to jestem za harmonią. Niestety na świecie przeważa gen zniszczenia, burzymy i rozwalamy, ale potem nadchodzi odrodzenie – i to jest ten krok do przodu...Przychodzi nowe i czasem nawet jest dobre”. (s.37)

No właśnie – czasem. I tylko na pewien czas.

Jest zręcznym erudyta, bawi nas wtrąconymi w tekst

długu supła komplikacje próbując się z nich zarazem wyplątać:

„Uwaga! Małe decyzje są ogromnie ważne. To one zmieniają życie!”. (s.71)

Siadłem z wrażenia, chociaż już siedziałem.

Mistrz Andrzej jest myślicielem, prozaikiem, felietonistą, muzykiem. Cóż, jest po prostu Artystą. Kto wie, może i jego zdolności wizjonerskie i translokacyjne pomagają mu w znajdowaniu „kominów” do udanych wznoszeń jego intelektualnego szybówca.

Kiedy politykuje, znaczy, kiedy felietonuje na



książki felietonami o Bogu, naturze, sensie i sensie po sensie, o radości i smutku, anegdotami ze swego życia, dba o to, żeby czytelnik nie czuł się zanadto przeciążony powagą poruszanych spraw zasadniczych.

Naturalny filozof i do tego intelektualny showman. Brawo!

I wie, co znaczy trzymać styl. „Chodzi o styl wypowiedzi, ponieważ autentyczność to śmieszna utopia. Styl to szminka, którą autor pociąga w jednym miejscu mocniej, w innym lżej”. (s.62)

I słusznie, no bo jakże inaczej. Tak zwane prawdziwe pisanie o sobie nie istnieje. Można co najwyżej kreować siebie, można to jednak czynić w dobrej wierze i z szacunkiem do Czytelnika, jak u naszego Andrzeja. I to jest dobry styl.

Autor trzyma styl i... epatuje. Też zgrabnie. Pisze wiersze, wplata anegdoty, wywodzi, zwodzi, przewodzi, formuje swoistą ikebanę, pełną kwiatków z jego długiego życia, a i ze skarbicy swojej twórczości.

Dba o autokreację, to normalne, ważne jednak, że nie wymądrza się przed nami. Spolegliwie toczy opowieść o sobie, o swoim życiu. Nie chłoszcze nas z katedry wiedzy przepastnej, nie ćwiczy na nas moralitetów, uczuła za to na piękno i dzieli się swoimi rozterkami, ujawnia co go przeraża, ale i co olśniewa.

Jest Jordanem z wyostrzonym uchem na piękno muzyki świata, jest Andrzejem, który pochyla się nad słabością człowieka i człowieczeństwem, mówi nam to, co wspaniale słowami pieśni wyraził Leonard Cohen w refrenie do songu Anthem:

Ring the bells that still can ring.

Forget your perfect offering.

There is a crack, a crack, in everything.

That's how the light gets in.

Jest optymistą. Ano, tylko gruntowany pesymista może być wiarygodnym optymistą. Pesymista w rozumieniu naszych szans tu, na Ziemi, optymistą w kwestii widoków na Potem. Niereligijne one, nie ortodoksyjne, sam żałuję, że nie potrafię być aż tak optymistycznym pesymistą.

Mówi do nas: „Robię pół kroku w półmroku, ale niczego się nie obawiam – to w końcu mój półmrok (...) Nie ma na Ziemi nic bardziej wspólnego, jaka stopniowo zanikanie życia. Co jest dramatycznym, ale zarazem trochę śmiesznym paradoksem, ponieważ w ten sposób zbliżamy się krok po kroku ku odkryciu tajemnicy, której poznania tak się boimy”. (s.71)

Mistrz Andrzej jest dogłębny, kiedy mówi o esencji życia, kiedy bierze się za bary z sensem i miota się wśród bezsensów. Swoje rozważania filozoficzne konkluduje śmiało myślą, będącą zwycięstwem prostoty możliwej tylko wtedy, kiedy człowiek dostatecznie

sposób politykierski, choć mi bliski w poglądach, to jakby nie dbał o głębię. Wali frazesami i kliszami znanymi nam z tzw. opozycyjnych mediów. Obrzydza go „pisiorstwo” jako postawa mentalna i dobrze, jego komentarze nie wnoszą jednak niczego nowego w to, co nas gryzie w polskiej rzeczywistości. Z pewnością są to jednak szersze odczucia i przemyślenia, dlatego i w tym mu przyklaskuję.

Jak nas zapewnia w książce, nie czuje się wrosły w szwedzkość, to też rozumiem. Mieszka w wielkim mieście, coraz bardziej kosmopolitycznym, i to dla człowieka z zewnątrz jest dobre. Dzięki temu zachowuje niezależność na wszystkich planach. Zapewne zdaje sobie sprawę i z tego, że jego polskość, którą w sobie pielęgnuje, jest... sztokholmska. Nie szwedzka – sztokholmska. My, przybyli z zagranicy mieszczańscy tego miasta, rozumiemy się w tej kwestii.

Mimo niezmiernie ilości poruszonych wątków w książce, Autor nie próbuje mi wykazać swoich „jedynie słusznych poglądów na wszystko” (parafraza tekstu Leszka Kołakowskiego). Prowadzi mnie na spacer przez zasadzki, znaczy się, poprzez zasadnicze kwestie, spacernik to jednak miły, czuję, że jesteśmy uwięzieni w tym samym ośrodku odosobnienia.

Jest w książce genialny fragment (jeden z wielu), kiedy Autor podsuwa nam na tacy niekonsekwentne formujące nasze bytowanie Ludzi Zachodu:

„Patrząc na Manhattan od strony oceanu, widzimy ściśnięte na niewielkiej przestrzeni, stojące jeden przy drugim ogromne wieżowce, a wokół rozpościerają się mało zaludnione przestrzenie. W Nowym Jorku już prawie nie sposób żyć, a mimo to ciągną tam tłumy. Człowiek stworzył molocho, który go pożera, staliśmy się w jednej osobie kapo i więźniem, myśliwym i jego ofiarą tancerzem i tańcem, koniem i wozem”. (s.120).

Niby się to wszystko wie, ale jak pięknie to podane pod piórem Autora Andrzeja. Tym bardziej, że zaraz dalej pisze:

„Co mi po wysokim myśleniu? W Tybecie ludzie potrafią siedzieć naprzeciw siebie godzinami w milczeniu. (...) Jedną z najstarszych indyjskich mantr każe zaklaskać jedną ręką. Podobno rozwiązaniem tego pozornego paradoksu jest rozwarstwienie ciszy.” (s.121)

Rozwarstwienie ciszy.

Moja głowa tego nie rozwiąże, ale, ale...chyba słyszę to... Hania Rani na ścieżce dźwiękowej do filmu o Giacomettim...

Mistrz Andrzej! Piszesz:

„Chwila, tylko chwila bieżąca się liczy! Ma swoją wagę i swoje wyzwanie. Bo „za chwilę” będziesz już kim innym, aktorem w innej scenie baletu świata, który się nieustannie przeistacza... (s.140)

Zaraz potem dodajesz: „I czasem jest pięknie, a czasem niepięknie.” (s.140)

Drogi Autorze! Idąc Twoim tropem znów się chce zaintonować hymn Carpe Diem, wejść w taneczny krok greckiego zaibekiko... A co!

I genialne zdanie: „Sensem życia jest samo życie. Punkt!”. (s.193)

Za ten passus i za piękne słowa o uroku naszego Stockholmu, emokam w policzki z dubeltowy.

Fragmentuj nam dalej swoją większą całość, Autorze Społegliwy!

Zygmunt Barczyk

Fragment większej całości. Moje życie jako Andrzej Szmlichowski Jordan. Polonica, Stockholm 2023, s.204

Książkę Andrzeja Szmlichowskiego można kupić wplacając Swishem 120 koron tel: 0707 532 023 podając swój adres E-mailem: andrzej.szmlichowski@gmail.com

Dokąd zmierzasz polszczyźno w dzisiejszej Szwecji?...

Wiele lat temu, w istniejącym wtedy polskojęzycznym i wychodzącym w Sztokholmie biuletynie *Relacje*, opublikowałam tekst pt. „Język za darmo?...”. Podkreślałam tam zalety zadbania o dwujęzyczność u młodej, urodzonej już w Szwecji, lub przybyłej wraz z rodzicami w okresie dzieciństwa czy dojrzewania, generacji. Jednocześnie też dzieliłam się problemami, z jakimi styka się rodzic spoza szwedzkiego kręgu językowego, usiłując przekazać swej latorośli – nie zawsze chętnej – przynajmniej podstawy własnego języka. Pozwolę sobie przytoczyć parę refleksji z tego okresu i skonfrontować je z dzisiejszą rzeczywistością, w jakiej wszyscy żyjemy w tym kraju.

M. ANNA PACKALÉN PARKMAN

Problemach z nauczeniem dzieci języka polskiego wiem doskonale z własnego doświadczenia: jako matka dorosłych już dzisiaj dwóch córek, urodzonych i wychowanych w domu szwedzko-polskim, często spotykałam się (ze strony nie tylko szwedzkich rozmówców...) z uwagami w stylu „Mieszkaś przecież w Szwecji, więc komu potrzebny ten polski?!”. Ale były też bardziej pozytywne uwagi, typu „Jak to dobrze, że twoje dzieci mają dodatkowy język za darmo!” I jedne i drugie komentarze powodowały jednak u mnie frustrację: przy tych pierwszych mobilizowałam wolę, żeby się nie poddać, przy drugich (skądinąd przecież życzliwych) zgrzytałam zębami, bowiem określenie „za darmo” jest ostatnim zwrotem, jakiego użyłabym w tej skomplikowanej językowej sytuacji.

Trochę wspomnień: jeszcze na długo przed narodzinami naszej pierwotnej ustaliliśmy ze szwedzkim ojcem moich córek, że do naszych przyszłych dzieci będziemy mówić każdy w swoim języku. Mieliśmy nadzieję przybliżyć im w ten sposób, oprócz kultury szwedzkiej, również rzeczywistość i kulturę polską. Oboje zrobiliśmy naprawdę wszystko, aby godnie spełnić ów zaszczepny zamiar. Nie zawsze jednak było to łatwe, zwłaszcza gdy reakcje otoczenia niejednokrotnie wystawiały nas i nasze dzieci na próbę.

Szybko bowiem miałam okazję się przekonać, że jeśli nie dane mi było być z pochodzenia Angielką (lub jeszcze lepiej Amerykanką), Niemką czy choćby Francuzką, to muszę pogodzić się z faktem, że język polski zajmuje, niestety, podrzędne miejsce w szwedzkiej społecznej randze języków. I że rzadko przyjdzie moim dzieciom napotykać podobnie pozytywne reakcje i komentarze ze strony szwedzkiego otoczenia, jakie przypadały w udziale koleżance mojej córki, mającej ojca Amerykanina: „Jakie to wspaniałe móc od dzieciństwa mówić i po szwedzku i po angielsku!”

Sądzę, że wielu z moich rodaków, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, miało czy ma nadal podobne doświadczenia. Łatwo też zrozumieć, dlaczego wielu w nich traciło z czasem motywację do wytrwania w tym heroicznym nierazkąd zamiarze nauczania dziecka swego ojczystego języka. Bowiem przekonanie, że język ten potomek uzyskuje niejako automatycznie, jest rzecz jasna mitem. Jest to oczywiście w większym stopniu możliwe, kiedy oboje rodzice, zamieszkali w Szwecji, są Polakami. Dziecko przebywa wtedy w naturalny sposób w polskim kontekście językowym. Jednak w sytuacji, kiedy ojciec moich dzieci był Szwedem, a przez to język szwedzki tym, którego używaliśmy w domu, musiałam sama zadbać o rozwój językowy córek.

Zaznaczam też, że głównie z takiej właśnie perspektywy, tzn. rodziny szwedzko-polskiej, dzielę się tutaj moimi doświadczeniami i refleksjami. Ale także z perspektywy nauczyciela akademickiego: moje życie zawodowe poświęcone było, poza pracą naukową, przyswajaniu studentom języka, literatury i kultury polskiej. Oprócz zainteresowanych językiem polskim rodowitych Szwedów, miałam też wielu studentów tzw. drugiej i nawet trzeciej generacji. Niektórzy wynieśli z domu polszczyznę, choć byli w tej grupie najprzeróżniejsze „podgrupy”: jedni posługiwali się swobodnie polskim mówionym, ale nigdy nie nauczyli się czytać czy pisać. Byli też tacy, którzy – dzięki nauce w szkole szwedzkiej języka „domowego” czy „ojczystego” (nazwy zmieniały się, o czym dalej) – umieli w takim czy innym stopniu czytać czy pisać, ale byli też i tacy, którzy, mimo że pochodzili z polskich rodzin, musieli na studiach zaczynać naukę

języka polskiego dosłownie od zera. Wielu z nich niejednokrotnie żaliło mi się, że nie pojmują, dlaczego ich polscy rodzice woleli mówić z nimi po szwedzku zamiast po polsku. No cóż, można to zrozumieć, jako że brało się to często z przekonania dorosłych, zwłaszcza tych, którzy przyjechali do Szwecji z dziećmi urodzonymi i częściowo wychowanymi jeszcze w Polsce, że w ten sposób ułatwią im integrację ze szwedzkim środowiskiem. Poza tym nie zawsze może chcieli czy mogli przeciwstawić się reakcjom otoczenia, które często bardziej człowieka zniechęcały niż zachęcały do mówienia z dziećmi po polsku. Jeszcze trudniej było zapewne (wiem o tym z własnego doświadczenia) wytrwać samemu (mam tu na myśli pary mieszane, szwedzko-polskie) w tym niezbyt łatwym w praktyce zamiarze konsekwentnego zwracania się do dziecka w swoim języku.

Owe nie zawsze pozytywne reakcje otoczenia można po części zrozumieć: używanie języka niezrozumiałego w większości dla obecnych jest oczywiście frustrujące dla obu stron. Jak również bardzo męczące, zwłaszcza dla obcojęzycznego rodzica, który nierazkąd zadaje sobie pytanie: czy rzeczywiście mam się zwracać po polsku do mego dziecka właśnie teraz, tzn. na jego/jej przyjęciu urodzinowym, u lekarza, na wycieczce szkolnej, w czasie wizyty szwedzkich krewnych czy znajomych, i tak dalej... – niezliczone są sytuacje społeczne, kiedy rodzic czy oboje polscy rodzice muszą się ustosunkować do tej kwestii.

Próbowałam jednak w swoim czasie trwać w tym zamiarze. Rodzina i przyjaciele w Polsce bardzo mi w tym pomagali, podsyłając książeczki dla dzieci, gazetki, kasety z filmami, itp. – bo było to jeszcze w czasach przed rozpowszechnieniem się Internetu. Ja sama wykorzystywałam wszelkie okazje, żeby opowiadać bajki, śpiewać i czytać po polsku, nawet wtedy, kiedy córki protestowały: „Nie mogłabyś czytać szwedzkich książek, jak tatuś?”

Nie ludyżmy się bowiem, że dziecko zawsze z entuzjazmem i z wdzięcznością będzie przyjmowało odmienny od otoczenia język jednego czy obojga rodziców. Wiadomo, że dzieci nie chcą różnić się od swoich rówieśników. Mówiący w innym języku mama czy tata, to często powód do pewnego zażenowania – za odmiennego rodzica, a tym samym za siebie, i za to, że się odstaje od grupy. Zdarzają się sytuacje, które naprawdę wymagają samozaparcia i odwagi cywilnej ze strony rodzica.

Kiedy moja motywacja malała, sił dodawali mi inni rodzice, znajdujący się w podobnej sytuacji: przez wiele lat istniał w Uppsali Związek Rodzin Wielojęzycznych (FFF = Föreningen För Flerspråkiga Familjer), którego członkowie spotykali się regularnie, dyskutując problemy związane z wychowaniem dzieci w dwu- czy nawet kilkujęzycznym otoczeniu. Związek ten nie przetrwał niestety czasu i różnych cięć finansowych władz miasta Uppsali. Dzisiaj istnieje jednak na terenie całej Szwecji, EFF: Enheten för flerspråkighet, a więc jednostka ds. wielojęzyczności, która oferuje naukę języka ojczystego dla dzieci i młodzieży w wieku 0-19 lat.

Jest to szczególnie ważne dla uczniów niedawno przybyłych do Szwecji, którzy, poza nauką języka szwedzkiego, mogą otrzymać pomoc od nauczyciela ich języka ojczystego w formie poradnictwa w zakresie nauki w tym właśnie języku. Ale jest to również ważne dla dzieci urodzonych już tu, w Szwecji, które w ten sposób mają możliwość utrzymania i rozwoju języka rodzica czy obojga rodziców. Ci, którzy mieszkają w większych miastach (Sztokholm, Göteborg czy Malmö), mają poza tym możliwość zapisania dzieci do polskiej szkoły – jak widać możliwości wyboru jest obecnie wiele. Nie mówiąc już o tym, że można podjąć naukę języka polskiego nawet w dorosłym wieku:

zarówno Uniwersytet w Uppsali, jak i w Sztokholmie oferuje pełen program studiów polonistycznych, które obejmują nie tylko sam język polski, ale także literaturę, historię i kulturę i współczesne realia polskie.

Wracając do dawniejszych czasów: doceniłam możliwość, jaką dawało (i jak widać nadal daje) państwo szwedzkie, szczególnie wtedy, kiedy po kilku latach urodziła się młodsza córka. Sytuacja w jej przypadku była jednocześnie łatwiejsza i trudniejsza. Łatwiejsza dlatego, że mieliśmy już wypracowane pewne rutyny domowe, jak choćby zasadę, że do dziecka zwracamy się każde w swoim języku; trudniejsza dlatego, że córki zawsze rozmawiały (i tak jest do dzisiaj) ze sobą po szwedzku. Stąd też nawet jeśli ja konsekwentnie zwracałam się do dzieci po polsku, bywały okresy, kiedy jedna (zwłaszcza młodsza) córka odpowiadała mi wyłącznie po szwedzku. Moja rada w takich sytuacjach: nie zwracać uwagi i trwać przy swoim! Prędzej czy później człowiek doczeka się odpowiedzi w języku polskim.

Mając jednak na uwadze zwyczaję językowe córek z mieszanymi uczuciami przyjąłam wiele lat temu propozycję szwedzkiego ministerstwa szkolnictwa zmiany nazwy hemspråksundervisning (dosłownie „nauka języka domowego”) na modersmålsundervisning („nauka języka ojczystego”). Bo mimo najszerszych chęci nie mogę twierdzić, że to właśnie polski jest językiem ojczystym moich dzieci. Identyfikują się one (z racji ojca Szweda i miejsca urodzenia) całkowicie ze Szwecją i z kulturą szwedzką. Nie przyszłoby mi też do głowy naruszać tego silnego poczucia narodowej przynależności i zmuszać je do wyboru między kulturami szwedzką i polską.

Nie znaczy to jednak, że nie utożsamiają się w dużym stopniu z kulturą i tradycją polską. Mimo jednoznacznej jednokulturowej identyfikacji, fakt pochodzenia jednego z rodziców z innego kraju oraz przyswojona od najmłodszych lat dwujęzyczność, daje dzieciom z rodzin mieszanych – w porównaniu z dziećmi, które nigdy nie otarły się w aktywny sposób o inną kulturę – szersze ramy referencyjne w porównaniu z ich jednojęzycznymi rówieśnikami.

Na szczęście obecnie istnieje już dużo literatury fachowej na temat dwujęzyczności. Rzadko kiedy dzisiaj można spotkać się z uprzedzeniami (bardzo trwałymi kilkadziesiąt lat temu!), że „narażanie” dziecka na dwa języki powoduje, że nigdy żadnego z nich nie opanuje w 100%. To wierutna bzdura. Właśnie fakty natury naukowej wzmacniały przez lata zarówno moją motywację, jak też argumentację wobec uwag ludzi sceptycznie odnoszących się do tej sprawy.

Apeluję więc do wszystkich, którzy znajdują się w podobnej sytuacji, tzn. kiedy mamy do czynienia z językiem „słabszym” pod względem prestiżu w społecznej świadomości (w odróżnieniu od np. języka angielskiego czy niemieckiego), żeby nie ulegać opiniom czy naciskom nie zawsze pozytywnie (a często lekceważąco czy wręcz pogardliwie) nastawionego otoczenia. Nie wszyscy bowiem rodzice Polacy są w takiej sytuacji, że mogą nauczyć dziecko swego języka. Oczywiście, że lepiej późno niż wcale. Ale jeśli można naukę zacząć wcześniej, a najlepiej jak najwcześniej, to przynosi to naprawdę ogromną korzyść obu stronom.

Sytuacja dzisiejsza jest niewątpliwie lepsza niż 20-30 lat temu. Zmieniła się polityka językowa, a przez to nastawienie ogółu społeczeństwa do dwu- czy wielojęzyczności oraz wiedza na ten temat. Poza tym w obecnych czasach, kiedy Internet oferuje online setki możliwości nauki, konwersacji, kontaktów z Polską itp., nie mówiąc już o filmach i filmikach czy choćby podcastów na najprzeróżniejsze tematy (lista jest długa!) nietrudno jest zmotywować się do nauki jakiegokolwiek języka obcego. Sedno sprawy pozostaje jednak to samo: to na rodzicu spoczywa główna odpowiedzialność za nauczanie dziecka swego języka, a zwłaszcza jego podstaw – jak choćby wymowy polskich dźwięków, tak trudnych do przyswojenia w późniejszym wieku. Albo przynajmniej do zachęcenia swojej latorośli do zainteresowania się możliwościami przyswojenia sobie języka polskiego. Bo – co podkreślałam – nie chodzi o to, żeby z dziecka urodzonego czy wyrastającego w Szwecji na siłę zrobić Polaka. Wiadomo też, że język szwedzki będzie tym właściwym „językiem ojczystym” (jeśli już użyć tego określenia), a polski językiem przyswojonym na takiej samej zasadzie, jak języki nabyte w szkole – angielski i inne.

Dwujęzyczność (bilingualism) definiuje się właśnie jako zdolność osoby mówiącej do używania dwóch języków do – co podkreślałam – komunikacji. Ze względu na złożoną naturę, badanie dwujęzyczności opiera się na kilku dziedzinach lingwistyki, antropologii, psychologii i edukacji. Wszelkie te badania podkreślają dzisiaj, że dwujęzyczność ma duży wpływ na kreatywność i myślenie twórcze.



Martin, syn Ryszarda Antoniusa

Marcin Antoniszczak, a raczej Martin Antonius (bo tak podpisuje swoje prace) wielokrotnie wystawiał swoje malarstwo w Galerii Lyktan w Skogås, podmiejskiej części Sztokholmu. Zapamiętałam go z tego okresu jako siedzącego na inwalidzkim wózku drobnego chłopaka sprawiającego wrażenie dziecka. Jego malarstwo, też zdawało się równie „dziecinne” – to znaczy wolne od kanonów i trudne do sklasyfikowania. Odzworowało jego rzeczywistość, znajdującą się na pograniczu baśni.

Mały Martin zachorował w wieku sześciu lat na rzadką chorobę neurologiczną, która spowodowała, że musi poruszać się na wózku. Miejscem, gdzie najczęściej spędzał czas była pracownia rodziców. Od najmłodszych lat – jak mówiła jego matka – nie rozstawał się z flamastrem i rysował, rysował, rysował. Zamiast bajek pokazywano mu często albumy ze zdjęciami prac znanych twórców. Oglądał je z zainteresowaniem, aż dziwnym u tak małego dziecka. W czasie wielu podróży zagranicznych zawsze w programie było zwiedzanie Muzeum Narodowego danego kraju. Jako chłopiec zapoznał się z dorobkiem artystycznym czołowych artystów malarzy. Pierwszą fascynacją Martina były prace Hieronima Boscha, nieraz nazywanego prekursorem surrealistyki. Obrazy Boscha – jak podaje encyklopedia – „przepełnione są dziwacznymi wyobrażeniami, monstrami (...) przedstawia w nich najprzeziwniejsze ludzko-zwierzęce i ludzko-roślinne hybrydy”.

Inspirację twórczą dziełami Boscha widać na najmłodszych obrazach Martina. Artysta przepuszcza świat przez pryzmat swojej wrażliwości i

niesamowitej fantazji. Maluje bez wcześniejszego szkicowania. Używa, akrylowe farby, dające żywe, nasycone kolory. Można powiedzieć, że jest samoukiem, ale w tym najlepszym znaczeniu tego słowa. Nie ukończył szkoły plastycznej. Z techniką malarską zapoznał się w pracowni rodziców, ale nie naśladował ich. Stworzył swój własny, niepowtarzalny styl. Maluje nierealne zwierzęta-nie zwierzęta. W jego twórczości częstym motywem jest kot, i to nie byle jaki. Taki, który w każdej chwili może się przeobrazić na przykład w węża wyrastającego z jego ogona. Na małym obrazie (który kupiłam po wystawie) jego kot ma szeroko otwartą paszczę, gdzie zamiast zębów są domy, w których zapewne mieszkają ludzie. Paszcza dominuje tak bardzo, że nie zauważa się w pierwszej chwili małego kotka na śliniaczku potwora, bo wbrew pozorom ten groźny stwór, to kot domowy!

Obraz zatytułowany *Meduza* przedstawia, stworzenie wieloramienne opatrzone mackami, na których są oczy i ptasie głowy. Jest na nim morze, płyną ryby, na horyzoncie statek z wyciągniętą ręką – jakby pragnącą złapać tę przedziwną meduzę.

Oprócz fantastycznego potraktowania postaci malarstwo Martina zachwyca kolorystyką obrazów. Mnie kojarzyły się z ludowym malarstwem meksykańskim, ale jak sam artysta mówi, to trop fałszywy. Główną inspiracją dorastającego już Martina stał się Joan Miró, którego obrazy poznał na Mallorca w Muzeum Miró. Jak sam mówi, spotkanie z dziełami Miró było olśnieniem. Nie ukrywa, że właśnie w jego twórczości zobaczył siebie. To był klucz, który otworzył bramy jego fantazji i był przyczyną zajęcia się malarstwem na serio.

Choć Miró skryształizował swój styl w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, to nadal przemawia swym nierealnym światem, na który składają się – jak



podaje Wikipedia – „żywe kolory połączone z uproszczonymi formami, kojarzącymi się z rysunkami pięcioletniego dziecka”. Tak, Miró zainspirował go, ale obrazy Martina nie są jednak repliką Miró. Ten wybitnie utalentowany młody artysta (dziś już – jak ze zdziwieniem stwierdziłam – ponad trzydziestoletni, choć nadal wyglądający bardzo młodo) reprezentuje swój własny, unikalny, odrębny styl. Nie ma w jego obrazach obsceny ani ponurego gwałtu jakie można znaleźć u Miró na przykład w części znanego tryptyku zatytułowanego *Ogród rozkoszy ziemskich*. Artysta poszedł swoją własną drogą. Zaskakuje oryginalnością i zmusza do myślenia, choć, jak sam artysta mówi, próżno jest szukać w jego obrazach klucza do ich zrozumienia. Pomysły jego prac są oryginalne, w żaden sposób nie kopią również malarstwa ojca czy matki. Jego obrazy trzeba kontemplować i oglądać

wiele razy. Za każdym razem znajduje się w nich coś nowego. Wydawać by się mogło, że dla jego fantazji nie ma żadnych granic. Oglądając prezentowane prace zauważa się, że Martin malując cieszy się i bawi i dlatego jego obrazy choć zadziwiające są bardzo radosne. Powieszzone w salonie stają się ciekawym elementem przyciągającym oczy.

Martin jest synem zmarłego niedawno wybitnego artysty plastyka Ryszarda (znanego również jako Richard A. Antonius), polsko – szwedzkiego pisarza, scenarzysty, reżysera filmów animowanych, autora książek i filmów o Miki Molu – molu książkowym. Autora powieści *Czas Bęboka* i *Omnium*, a także eposu przygodowego *Ósma Wyspa – Tajemnice Qanarii*. Członka i autora tekstów kultowego zespołu *Zdrój Jana*. Jednym słowem jego ojciec był twórcą wszechstronnym, renesansowym. Mamą Martina, jest Grażyna zwana Elą – artystka plastyczka próbująca wielu dziedzin od malarstwa, wyrobu artystycznej biżuterii, do ceramiki artystycznej. Starszy brat Martina też jest artystą. Marcin wychował się więc w rodzinie, gdzie nawet dalsi krewni są artystami plastykami jak na przykład stryj Julian brat Ryszarda, używający pseudonimu Julian A. Antonisz - twórca krakowskiej Szkoły Miniatur Filmowych, czy kuzynki artystki plastyczki Sabina i Malwina. Nie dziwota, że w takiej rodzinie rodzą się *

19 sierpnia 2023 w nowo otwartych (po remoncie) salach galerii Lyktan Martin pokazał inny, nowy dla niego gatunek swojego rozwoju artystycznego. Tym razem zaprezentował zestaw artystycznej ceramiki. Wykonał ją w tym roku w Polsce na warsztatach artystycznych, w Ćmielowie, słynnej fabryce porcelany. Artysta w sposób cudowny przeniósł swoje wizje na przedmioty codziennego użytku: porcelanę obiadową, śniadaniową, piękne misy i miseczki. Była to właściwie wystawa dwójga artystów, bo Martin tworzył dekor, na przedmiotach, które stworzyła jego mama Grażyna Ela Antoniszczak. Składały się nań ulubione motywy kota i innych twórców jego przebogatej fantazji. W pierwszym pomieszczeniu zaprezentowane zostały duże fotografie – portrety twórcy artysty. Był to znakomity pomysł wprowadzający widza w świat twórczości Martina. Sama ekspozycja ceramiki była pięknie prezentowana w oszklonych i podświetlonych gablotach.

Każda miseczka, garnuszek czy solniczka są dziełem sztuki, która oddaje wewnętrzny świat artysty. Po obejrzeniu wystawy pozostaje uczucie niedosytu. Chciałoby się dotknąć, poczuć w ręku fakturę ceramiki, z bliska obejrzyć każdą stronę filiżanki czy miseczki...

Warto wejść na stronę internetową Gallery AAA Antonius na Facebooku i zobaczyć niespotykane bogactwo wyobraźni Marcina. Gorąco polecam szersze zapoznanie się z jego twórczością. Martin już dziś jest twórcą chętnie wystawianym w galeriach Szwecji, Polski i Hiszpanii. Jego prace malarskie znajdują się w prywatnych kolekcjach sztuki w Nowym Jorku, Paryżu, Niemczech, Danii, Polsce i Hiszpanii. Jest artystą, który ciągle próbuje pokazać swój niezwykle świat zapoznając się z nowymi technikami. Jestem tego pewna, że niebawem jego ceramika stanie się przedmiotem kolekcjonerskim miłośników twórczości Martina.

Wejście na stronę Gallery AAA Antonius pozwoli też na przypomnienie twórczości zmarłego przed dwoma laty ojca Martina i jego *Kodu Światów* Cyklicznych przedstawianych w spirali.

Żegnając Ryszarda napisałam na Facebooku: Wsiadłeś Ryszardzie z tej twojej spirali życia. W Marcinie – twoim synu – znajdujesz kontynuację. Dbaj o niego z tego dalekiego świata, który niekoniecznie musi być w NIEBIE.

Anna Wiśniewska Winner

Foto: Grażyna Ela Antoniszczak

Dokąd zmierzasz polszczyźno w dzisiejszej Szwecji?...

Dokończenie ze str. 3

Szerszy zasób słów daje ponadto większą możliwość do wyrażania swoich myśli, poglądów i uczuć. Poprawia też szybkość uczenia się i umiejętność myślenia przyczynowo skutkowego.

Można zapytać, co z tego, skoro język angielski opanował już wiele dziedzin i ma obecnie niepodważalną rolę lingua franca w Europie i poza nią. Wiele osób ową „dwujęzyczność” kojarzy ze

znajomością, oprócz języka kraju, w którym wyrosli, właśnie i tylko języka angielskiego. Język rodziców czy jeszcze bardziej dziadków, pozostaje w tyle: to, co łączyło kiedyś całe pokolenia Polaków, w kraju, a tym bardziej „na obczyźnie”, kiedy to język ten był symbolem wspólnoty i mianownikiem łączącym rodaków rozsiansych po świecie i który spełniał ogromną rolę w podtrzymywaniu polskości, dzisiaj powoli spada w hierarchii ważnych języków jeśli nie na dno, to w każdym razie dość nisko w świadomości ogółu. Bo powiedzmy sobie szczerze: czy język polski, chociażby tutaj, w Szwecji, ma szansę przetrwania i rozwijania się, jeśli my, starsze generacje, nie zadamy o to, by nasze dzieci i wnuki w naturalny sposób odziedziczyły go po nas na równi ze wszystkimi innymi przymiotami i wartościami, jakie kierowały ich wychowaniem? I jeżeli nie przekażemy im szacunek dla języka przodków i nie pokażemy, jaką korzyścią

jest czy będzie dla nich znajomość i używanie zarówno języka kraju zamieszkania, jak i języka, którym posługuje się na świecie ponad 50 milionów osób? Bo nawet jeśli odliczyć ok. 38 milionów Polaków w Polsce, to jest to i tak ogromna liczba ludzi poza Polską – według najnowszych danych poza granicami kraju żyje ponad 21 mln Polaków. Najwięcej, bo ok. 10 milionów, mieszka w Stanach Zjednoczonych, gdzie też badania w związku z tym, i właśnie nad angielsko-polskim bilingwizmem, bardzo się w ostatnich czasach zintensyfikowały.

A pomijając już wszystko inne aspekty pomyślnie, jaką cenną inwestycją w przyszłość jest obdarzenie potomków dodatkowym językiem! Warto to naprawdę zarówno wkładu pracy, jak i wszelkich innych poświęceń.

M. Anna Packalén Parkman

Zwycięstwo, ale nie nokaut

Po 8 latach dewastacji demokracji w Polsce i rządach Prawa i Sprawiedliwości, zjednoczona prawica musi oddać rządy demokratycznej opozycji. To wiadomość bardzo dobra, ale październikowe wybory pokazały także, że nadal ponad 40% Polaków gotowa jest akceptować autorytarne rządy.

Partia, która przez ostatnie lata demontowała demokrację otrzymała trochę ponad 35% głosów. Mimo, iż nie przełoży się to na utrzymanie przy władzy, to spory sukces i powód do zmartwienia nad kondycją i postrzeganiem rzeczywistości przez ponad 1/3 wyborców. A gdy do tego dołożymy kolejne 7% głosów oddanych na Konfederację, to zobaczymy skalę polaryzacji społeczeństwa. Sam fakt, że na liście 30 posłów, którzy dostali najwięcej głosów w wyborach są m.in. reprezentujący Zjednoczoną Prawicę Jarosław Kaczyński (główny winowajca), Piotr Gliński (odpowiedzialny za dewastację polityki kulturalnej), Mariusz Błaszczak (skompromitowany nieudacznik i podnóżek prezesa Kaczyńskiego, odpowiedzialny za dewastację resortu obrony narodowej), Przemysław Czarnek (odpowiedzialny za dewastację szkolnictwa), Elżbieta Witek (marszałkini Sejmu, odpowiedzialna za dewastację parlamentaryzmu) i Zbigniew Ziobro (odpowiedzialny za dewastację wymiaru sprawiedliwości) – to wówczas mamy obraz całkowitej aberracji.

Zwycięstwo opozycji jest jednak powodem do radości. Można mieć nadzieję, że za jakiś czas (raczej dłuższy niż krótszy) uda się naprawić to, co zostało zniszczone, przywrócić niezależność instytucjom, które powinny być niezależne, zbudować od początku wiarygodność państwa na arenie międzynarodowej. I wiele, wiele innych elementów.

Naturalnym kandydatem na premiera nowego rządu powinien być oczywiście Donald Tusk, który jest architektem zwycięstwa całej opozycji. Przed nowym rządem stoi gigantyczne wyzwanie, tym bardziej, że ani pełniący obowiązki prezydenta A. Duda nie będzie zwycięskiej formacji ułatwiał procesu naprawy państwa, a i PiS okopany swoimi ludźmi w najróżniejszy sposób w licznych instytucjach, nie odda władzy lekko. Sytuacja będzie o tyle trudniejsza, że oczekiwania społeczne będą dużo większe niż możliwości nowopowołanego rządu, a żądza rozliczenia PiS napotka na cały szereg barier. Można jednak mieć nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł, by znowu zastosować „grubą kreskę” i zamiast rozliczać, przyjąć pozytywistyczne rozwiązania. To właśnie „gruba kreska” po upadku komuny w 1989 roku stała się przyczyną niestabilnych rządów w wolnej Polsce.

Dobry wynik w wyborach Koalicji Obywatelskiej (30,7%) to jednak znacznie mniej, niż ta formacja powinna dostać. Wielu komentatorów uważa, że jest to efektem tego, że dla zapewnienia zwycięstwa formacji demokratycznej, wielu wyborców ze względów taktycznych, oddało swoje głosy na Trzecią Drogę by zapewnić jej przekroczenie progu wyborczego. Jak napisał Janusz Palikot „polityka to okrutna świadomość mechanizmów”. Można mieć nadzieję, że w nowym układzie politycznym w Polsce ta polityczna układanka z Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy utrzyma się bez większych zgrzytów, choć już pierwsze zapowiedzi szefa PSL Kosiniaka-Kamysza (koalicjanta Trzeciej Drogi), że sprawy światopoglądowe nie mogą być przedmiotem umowy koalicyjnej, pokazują, że zwycięski blok nie jest monolitem.

Powyborczy nastrój świetnie i przejmująco opisała Agata Tuszyńska w felietonie dla „Vogue Polska”:

Od dłuższego czasu miałam wrażenie, że odebrano mi mój kraj. Żyłam w okrutnej bajce, którą rządzą nikiemni ludzie, i nikt nie potrafił ich pokonać. Zastanawiałam się, skąd się wzięli i dlaczego tak trudno się ich pozbyć. Umieli budzić w innych zło i tego bałam się najbardziej. Fachowo atakowali kolejne ideały i burzyli poczucie bezpieczeństwa. Musieli mieć poparcie, inaczej by nie przetrwali. Ale oto pojawiła się szansa, że to się zmieni.

Zachłysnęłam się tą myślą. Możliwością życia znowu w demokratycznym państwie, otwartym na innych, tolerancyjnym, gdzie „prawo zawsze prawo znaczy, / A sprawiedliwość – sprawiedliwość...”. W mojej Polsce, wolnej od upiorów nienawiści, która odrabia codzienne lekcje prawdy i pokory. I w ten sposób wychowuje kolejne pokolenia.



Czy taka Polska jeszcze istnieje? Na nią głosowałam, ja i miliony moich współ-rówieśników, kobiet i ich dzieci. Starszych i młodych, bo ich pragnienia są żywe i wymagające. Tych wszystkich, którzy nie chcą poddać jej dyktatowi nacjonalistycznych kukiel. Którzy nie chcą się za nią wstydić w Europie, którym nieznana jest pogarda do „obcego”.

Patrzę na mapę. Widzę obraz podzielony. Czy można o tym zapomnieć? Czy da się unieważnić „tamtych”. I czy to dobra strategia? Niedoceniając ich obecności w tym kraju już raz kosztowało nas drogo. Pierwszą ekstazę zastąpił niepokój.

Teraz znowu się przyda „dyktando u nadziei”. I jeszcze praca. Twarda, mozolna, codzienna. Żeby naprawić połamane skrzydła. Żeby pozwolić wyrosnąć nowym. A potem frunąć. Potrzeba do tego wielkiego wysiłku, bo ojczyzna, jak pisał poeta, „to wielki zbiorowy obowiązek”.

Na razie czeka nas mozolny i zapewne ciągnący się długo etap przejścia władzy, bo Kaczyński & Co będą robić wszystko by to opóźnić, by zdążyć zatrzeć ślady po dewastacji. Czekają nas więc długie tygodnie napięcia, by wreszcie to zwycięstwo demokracji skosztować. Bo Polska zasługuje na dobry los i dobre, mądre rządy.

Tadeusz Nowakowski

Tak głosowała Polonia w Szwecji

Po zliczeniu wszystkich ważnych głosów w pięciu komisjach wyborczych w Szwecji, zdecydowanie zwyciężyła Koalicja Obywatelska zdobywając nieco ponad 45% głosów.

Łącznie w Sztokholmie, Göteborgu i Malmö głosy ważne oddało 13787 wyborców. We wszystkich obwodach zwyciężyła Koalicja Obywatelska, na którą głosowało 6.222 osoby. Znajdujący się na pierwszym miejscu listy wyborczej KO Donald Tusk zdobył aż 5287 głosów.

W dalszej kolejności znalazły się: Prawo i Sprawiedliwość 17,2%, Nowa Lewica 15,8%, Trzecia Droga 12,2%, Konfederacja 8,7%, Polska Jest Jedna 1,4% i Bezparyjni Samorządowcy 1%. (Dane w przybliżeniu).

Polacy za granicą mogli wybierać wśród dwóch kandydatów do Senatu. Miażdżącą przewagę uzyskał kandydat KO Adam Bodnar uzyskując 10.361 głosów (79%), pokonując kandydatkę PiS Alicję Żebrowską na którą oddało głos 2.804 wyborców.

Łącznie więc partie opozycyjne mogące stworzyć nowy rząd (KO, Trzecia Droga i Lewica) zdobyły ponad 73% głosów.

Nikłym zainteresowaniem cieszyło się referendum, karty referendalne pobrało w komisji wyborczej zaledwie ok. 20% wyborców.

**PRZEWOZY PASAŻERSKIE
PACZKI I PRZESYŁKI**

SZWECJA

POLSKA

GWARANCJA NAJNIŻSZEJ CENY!

24h
50 SEK

WiFi, DVD, klimatyzacja, bagażnik, zwierzęta

Dobre zdjęcie to nie tylko pstryk i już

Tak łatwo jak dzisiaj nigdy wcześniej się nie fotografowało. Dzięki postępowi technicznemu w tej dziedzinie zdjęcia można pstrykać do woli i – co najważniejsze – zdjęcia nic nie kosztują. Niemal natychmiast możemy umieszczać je w pamięci komputera bądź na USB, a następnie oglądać w telewizorze. Przesyłać rodzinie, przyjaciołom, do gazety i zamieszczać je np. na Facebooku. Można je w komputerze doskonalić, poprawiać lub kasować – te niechciane.

Przypomnijmy sobie fotografowanie paręnaście lat temu, kiedy łądowało się do aparatu Zenit, Smiena czy Druh 12-to, 24-o lub 32-u klatkowy film. Trzeba się było długo zastanawiać przed naciśnięciem spustu migawki. A i sama obróbka kliszy, robienie negatywów i odbitek też nie było tanie, co wiele osób – między innymi mnie – zniechęcało do fotografowania. Szkoda, bo jak mówi stare przysłowie „trening czyni mistrza” i również dotyczy to fotografii.

Miałem w latach 60-tych znakomitego nauczyciela fotografii – Marka Karewicza (SP+), który nauczył mnie wiele. Po wielu latach przerwy w świecie fotografii, gdy otrzymałem mój pierwszy aparat cyfrowy do digitalnego fotografowania, wiedziałem, że czas przypomnieć sobie wiedzę z czasów nauki w pracowni fotograficznej w Pałacu Młodzieży (Pałac Kultury i Nauki w Warszawie).

Kiedy więc wziąłem do ręki profesjonalny aparat fotograficzny ważący powyżej 2 kilogramów, przypomniały mi się moje osiągnięcia z młodych lat. Mając już duże doświadczenie teoretyczne i praktyczne przekonałem się, że różnica w trzymaniu aparatu, kadrowaniu i naciśnięciu na spust migawki jest praktycznie minimalna. Fotografowanie to nie tylko umiejętności techniczne, czy opanowanie znajomości kompozycji. Żeby zrobić najpiękniejsze zdjęcia trzeba to czuć, być wrażliwym na piękno, które chcemy uwiecznić. Nie da się ukryć, że by spełnić się w tej dziedzinie, niezbędny jest dobry (ale niekoniecznie drogi) aparat fotograficzny.

Co skłoniło mnie do napisania tego artykułu? Coraz więcej moich znajomych chce próbować archiwizować wspomnienia za pomocą fotografii. Pstrykać zdjęcia z wycieczek, urlopów, dzieci, wnuków lub natury – wszystkiego, co się podoba. To dzisiaj stało się dużo łatwiejsze. Ale...

Jaki aparat wybrać?

Nie będę wymieniał różnych znanych nazw producentów, bo to jest bardzo indywidualny wybór. Rozważamy amatorskie fotografowanie, w którym bez najmniejszego sensu jest wydawanie wielu tysięcy na lustrzanekę, z której i tak wiele funkcji nie będziemy wykorzystywać, a kłopot w zrozumieniu wszystkich funkcji spowoduje tylko niechęć. Pamiętam jak mój dawny nauczyciel fotografii na wernisażu swoich prac, został zapytany przez panią, która obsługiwała bufet: „Pan robi takie przepiękne zdjęcia, musi pan mieć dobry aparat fotograficzny”. Marek Karewicz, znany żartowniś, odpowiedział: „Pani świetnie gotuje, musi pani mieć doskonałe garnki”.

Generalnie dzisiejsze aparaty cyfrowe można podzielić na trzy grupy. Pierwsza to lustrzanki, druga to chyba najbardziej lubiane, popularne i bardzo wygodne aparaty kompaktowe, które często przy fotografowaniu myślą za nas i praktycznie nasz udział w naciśnięciu na spust. Trzecia grupa, to dosyć drogie bezlusterkowce. Nie zapominajmy o całej gamie telefonów komórkowych czy ipadów, które znakomicie spisują się w akcji. Więc może warto zadać sobie pytanie: na co was jest stać? Te same zdjęcia zrobione każdą z tych kamer są... niemal takie same. Ale aparaty te różnią się oczywiście cenami, szybkością, rozdzielczością i łatwością obsługi, ale efekt końcowy będzie podobny.

Aparaty kompaktowe nie mają wymiennych obiektywów co w przyszłości – jeśli ktoś z was pokocha



to hobby – będzie dużym brakiem i trudnością w rozwijaniu swoich umiejętności. Jeśli ktoś zdecyduje się na lustrzanekę, będzie miał aparat w którym dowolnie wymieniamy obiektywy (ale tylko dopasowany do tego samego producenta). Z kolei wybór obiektywu to bardzo skomplikowana wiedza. Każda lustrzanka kupowana w tak zwanym pakiecie, ma obiektyw 18-55 F4.5. Jakiś obiektyw zawsze musi mieć, ale jest on z reguły bardzo słaby i nie daje nam wiele możliwości. Na początek proponowałbym tylko jeden obiektyw o stałej ogniskowej typ 50 mm F1,8. Charakteryzuje się on tym, że daje bardziej rozmyte tło i jest nazwany obiektywem „jasnym”. Co jest ważne w obiektywach? Między innymi to „F” – czym mniejsze, tym lepsze światło. Daje możliwość fotografowania w ciemniejszych pomieszczeniach. Np na uroczystościach w kościele, czy koncertach bez konieczności użycia lampy błyskowej.

Dla mnie wybór lustrzanki był dobrą alternatywą, dającą mi możliwości rozwoju w dziedzinie fotografii. Jeśli ktoś chce być fotografem „turystycznym” i robić paręset zdjęć podczas urlopu, czy na spotkaniach rodzinnych, poleciłbym kompaktowy aparat cyfrowy. Wiele zależy od oczekiwań. Może właśnie taki aparat spełni się u was najlepiej. Jego największą zaletą jest „mobilność”. Tutak dobra rada: kupując ten typ aparatu, powinien on posiadać duży zoom optyczny, ważna też jest duża matryca i stabilizacja obrazu. Powinien mieć jak najbardziej jasny obiektyw (czyli jak najmniejsze F). Taki aparat właściwie można nosić wszędzie. W plecaku lub nawet w kieszeni. Kolejną zaletą jest możliwość wyboru gotowych trybów robienia zdjęć, czyli automatyka. Jako amator masz prawo nie wiedzieć, jak ustawić poszczególne parametry (przysłona, czas naświetlania, czy ISO). Kiedy z czasem opanujesz te tajniki, zawsze możesz przejść na tryb manualny.

Dla fotografów amatorów, dla których pstrykanie zdjęć stało się hobby, poleciłbym jednak lustrzanekę cyfrową. Wielu użytkowników uważa, że są one zbyt skomplikowane. Ale łatwo jest znaleźć na rynku proste lustrzanki, które doskonale nadają się właśnie dla początkujących fotografów amatorów. Nowa lustrzanka jest dosyć droga.

Jaki potrzebny jest budżet?

Z reguły nie kończy się na zakupie samego aparatu, czyli tak zwanego body czy korpusu. Koszty znacznie wzrosną, gdy trzeba zainwestować w obiektyw, w torbę, statyw i lampę błyskową. Amatorskie lustrzanki mają co prawda wbudowany błysk, ale szybko dojdziecie do wniosku, że nie spełnia on oczekiwań. Można zdecydować się na sprzęt używany, ale z

wyższej półki. Dość łatwo jest znaleźć w ogłoszeniach na Blocket aparat w bardzo dobrym stanie z 3 miesięczną gwarancją.

Przy wyborze korpusu warto zwrócić uwagę na liczbę punktów autofokusa. Im większa – tym lepsza. Podobna zasada z ISO (ale to już wyższa szkoła wtajemniczenia). Dzięki tym punktom aparat bez problemu „trafi” i wyostrzy wybrany obiekt. Przy zakupie należy również „poczuć” kamerę, czy ona dobrze leży w ręku. W sklepie możemy próbować kilka z nich, i z reguły zaawansowana budowa body daje taką pewność. Musimy wiedzieć, że pomimo stabilizatorów ręka może się zmęczyć i zdjęcia będą rozlane.

Przy zakupie w sklepie dostaniemy pełną gwarancję, ale w fotografii amatorskiej nawet przez rok nie będziemy w stanie przetestować wszystkich drogich funkcji. Może więc szkoda pieniędzy na drogi sprzęt, który po krótkim czasie okaże się niewypałem i nie będzie spełniał naszych oczekiwań lub stracie zainteresowanie fotografią.

Warto pamiętać, że przy zakupie nowego sprzętu natychmiast traci się minimum 50% wartości. Kupując na Blocket za połowę ceny i np. odsprzedając go po jakimś czasie, dostaniemy za niego prawie tyle samo. Na Blocket za parędziesiąt koron można wykupić dodatkową gwarancję na ukryte wady. W razie konfliktu przy zakupie, Blocket pomaga przy reklamacji.

Sam posiadam aparaty półprofesjonalne które kupiłem z „drugiej ręki” i nigdy mnie nie zawiodły. Ostatnio nabyłem paroletni aparat fotograficzny wraz z kartonem, kwitem i dodatkowymi akcesoriami za... 700 koron. Okazało się, że ta kamera zrobiła tylko 2000 zdjęć. (Producent zapewnia niezawodność do 180.000 obrotów lustra). Dodatkowo kamera ta może również filmować w rozdzielczości HD, co bardzo się przydaje podczas koncertów lub spędzania czasu z dziećmi.

Nie rekomendowałbym częstych zmian aparatów. A w szczególności przejścia na produkt innej firmy. Spowoduje to pewien chaos w naszej edukacji fotograficznej. Obiektywy nie będą pasowały i wszystkiego trzeba się będzie uczyć od nowa. A przecież najważniejsza w tym wszystkim jest radość z fotografowania.

Co ważniejsze: aparat czy fotograf?

Potęga zdjęć leży głównie w nas samych, a nie w zmianie sprzętu, zwłaszcza, gdy zauważymy, że podczas fotografowania powtarzają się te same błędy. Często zadajemy sobie pytanie, czy zdjęcia są kiepskie bo mamy kiepski aparat fotograficzny bądź słaby obiektyw? A może zdjęcia są słabe, bo brakuje nam umiejętności?

Samo kupowanie nowego aparatu nie rozwiąże tego problemu. Powodem niezbyt udanych zdjęć może być wiele. Mogą być braki warsztatowe. Czym się więcej fotografuje, to zdjęcia będą coraz ciekawsze i coraz lepsze. Aparat jest tylko narzędziem, którego trzeba się nauczyć i opanować. A poznanie i wykorzystanie jego pełnej mocy w praktyce jest prawie niemożliwe.

Polecałbym ambitnym amatorom przygodę z fotografowaniem, żeby pieniądze zaoszczędzone przy zakupie używanego sprzętu przeznaczyć na kurs fotografii. Jednym z ważniejszych momentów edukacji w fotografii, to nauka kompozycji i wiedza, jak wspomóc aparat podczas wykonywania zdjęcia, by uzyskać coraz lepsze ujęcia. Może pojawić się wielka szansa i możliwość fotografowania z nowym kadrowaniem, z innym światłem i zdjęcia będą jak „żywe”. I. może, fotografia amatorska przekształci się w półprofesjonalną. Lub stanie się naszym zawodem.

Wśród Polonii w Szwecji są świetni fotografowie. Ich zdjęcia są na wysokim poziomie. Może oni mogliby wskazać właściwą drogę w tym fascynującym hobby i zorganizowaliby kurs fotografowania dla amatorów. Lokal przecież się znajdzie, a na taki kurs mimo, że wydaje mi się iż o fotografowaniu wiem wiele, chętnie sam wezmę udział jako uczeń. Może uda się nam amatorom stworzyć naszą amatorską stronę na Facebooku, gdzie będziemy mogli chwalić się postępami, a nasze zdjęcia będzie mogło oceniać szersze grono wielbicieli zdjęć.

I na koniec moich amatorskich rad: nie wczytujcie się w specjalistyczne opinie o „szumach”, „formatach” itp. W dobie fotografii cyfrowej rzadko zdarzają się złe aparaty fotograficzne - przeważają dobre lub bardzo dobre. Oczywiście w różnych przegrodach cenowych. Mają one podobne możliwości.

Jeśli będziecie zainteresowani, proponuję na początek stworzenie profilu na Facebooku. A propozycje i uwagi proszę kierować na adres redakcji:

polonica@polonica.se

Marek Lewandowski

Foto: © M. Lewandowski

Wszystko zaczęło się 60 lat temu. Odwiedzając po raz pierwszy Wiedeń zamówiłem wielogodzinny sightseeing włącznie z tamtejszym Wersalem zwanym Schönbrunn. Ale już przy zwiedzaniu jakiejś katedry czy pałacu dowiedziałem się od przewodnika (-czki, płci nie pamiętam), że w roku 1683 Wiedeń obleżony przez Turków został uratowany dzięki odsieczy pod wodzą jakiegoś austriackiego księcia. Jak to - zapytałem po angielsku - to nie John The 3rd Sobieski przegonił spod Wiednia zastępy Kara Mustafy? Nie pamiętam wymijającej odpowiedzi.

Jak broniłem czci i honoru królów, książąt, hetmanów, generałów i kompozytorów

Mija 60 lat. Jestem po raz trzeci w Wiedniu skąd rozpocznie się 2-tygodniowy spływ Dunajem do Morza Czarnego. Przewodniczka informuje po szwedzku i angielsku polsko-szwedzko-żydowską grupę, że... odsiecz i austriacki książę. Czyli nic się nie zmieniło. Pytam ją o to na przerwie, sumituje się i uzupełnia naszą wiedzę o Sobieskim, którego nazwiska nawet nie potrafi prawidłowo wymówić.

Przenosimy się do Budapesztu. Już się niczego nie spodziewam, ale rozglądając się wśród mijanych autobusem ulic, dostrzegam nagle napis Bem Jozsef utca, czyli Ulica Gen. Józefa Bema, jakby nie było bohatera Powstania Listopadowego i węgierskiej Wiosny Ludów. A zaraz potem jakiś pomnik, może tego właśnie generała. Komentarz przewodniczki milczy na ten temat. Ingeruję na kolejnej przerwie i dowiaduję się, że przewodniczki zmieniają komentarz w zależności od etnicznego składu grupy. Ale nie doczekaliśmy się informacji ani o Bemie ani o Szwedzie Raoulu Wallenbergu, którego zasługi w Budapeszcie jesienią 1944 pamiętają wszyscy.

Może ostatnie przykłady ignorancji – czy może braku zainteresowania – obserwujemy, gdy sprowadzeni na statek wykładowcy streszczają historię Bułgarii i Rumunii nie zatracając o najciekawsze i nadal aktualne losy tych krajów w czasie II wojny światowej. Co prawda wspomina się o fakcie odmowy króla bułgarskiego wobec żądania Hitlera wydania kilkudziesięciu tysięcy Żydów. Ale w historii Rumunii już ani słowa o faszystowskim reżimie Antonescu, ani o perypetiach polskich władz cywilnych i wojskowych po przekroczeniu granicy w Zaleszczykach, internowanych przez dłuższy czas bez możliwości udania się przez Węgry do Francji, by dalej walczyć z

Hitlerem i wzmocnić polski rząd emigracyjny.

Pytam przewodnika w Bukareszcie o węgierską nazwę Transylwanii (przekazanej Rumunii przez Węgry w wyniku pokoju w Trianon 1920) – nie wie. Podsuwam mu niemiecką nazwę Siebenburgen (Siedmiogród) nie zaskakuje. A przecież stąd wywodził się książę siedmiogrodzki Istvan Bathory, późniejszy król Polski Stefan Batory.

Powiedzenie „Polak Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki” zacytowała jednak przewodniczka po Budapeszcie. (Choć, nawiasem mówiąc, teraz bardziej aktualne wydaje się: Turek Węgier dwa bratanki, do NATO nie dopuszczanki).

A bywały także inne niespodzianki. Na Węgrzech i w Rumunii wspominałem dwa pochodzące stamtąd przeboje, popularne w Polsce jakieś 70 lat temu. Ten węgierski niektórzy



© COO Public Domain

z uczestników wycieczki jeszcze pamiętali (*Wio koniku, a jak się postarasz*). Odwiedzając pusztę zacytowałem nazwisko woźnicy (stary Galambosz) innemu woźnicy. Znał tylko węgierski i powtórzył w zamyśleniu: Galambosz. Nicco inaczej było z rumuńską piosenką „Marynika”, śpiewaną często w radio, a wtedy nie wszyscy wiedzieli, że Marynika to imię męskie.

I nagle, w restauracji w Bukareszcie, gdzie konsumpcję urozmaicała orkiestra z wokalistami i tancerzami w odpowiednich kostiumach (a folklor towarzyszył nam niemal w każdym kraju), nagle powróciła mi chyba cała pierwsza zwrotka:

*Kogut zapiał głośno i obudził kurki
Konik zarzał głośno, pusto w żłobie ma
Słońce już wyjrzało zza różowej chmurki
Krowa muczyc głośno zaraz mleko da
Marynika, Marynika, nawet oka
nie odmyka
A on wciąż śpi i śpi zupełnie jak na złość
śpi i śpi i nigdy nie ma dość
Marynika, nie bądź leń,
bo już dzień (bis)
Marynika, Marynika.*

Sam się nie leniłem i pogałem ku orkiestrze, z propozycją solowego występu. Poszukali jakiegoś akompaniamentu w internecie i ... nie znaleźli! Sic transit gloria mundi...

Podróż Dunajem obfitowała w inne atrakcje a także niewygodny i błędne decyzje organizatorów. Spuścimy jednak na te szczegóły zasłonę tajemnicy.

Aleksander Kwiatkowski

Najbrzydsze miejsce na świecie

Wyspy Zielonego Przylądka były dla nas długo terra incognita. Turystyka rozwijała się tam opornie, głównie na skutek braku wody pitnej. W końcu zainwestowano w odsalanie wody morskiej. Pierwszą wyspą jaką odwiedziliśmy było Sao Vincente. Dzień spędzony w urokliwej miejscowości Mindelo pozostanie na zawsze w mej pamięci. Słońce, ciepłe morze bez fal, od których chroniła plażę sąsiednia wyspa, kieliszek wina verde, lokalnego specjału, w restauracji z widokiem, więcej nie trzeba, aby poczuć się szczęśliwym.

Zachęceni urokami Mindelo wybraliśmy się na wyspę Sal spodziewając się podobnych wrażeń. Sal, co znaczy sól po portugalsku słynęła z kopalni soli i solanek. Ciekawostką jest fakt, że lotnisko na Sal, zbudowane już w 1939 roku, służyło włoskim pilotom do tankowania w drodze do Południowej Ameryki. Zamówiliśmy hotel w miasteczku Santa Maria. Mążzonek nie lubi trwonić pieniędzy na luksusy i hotel był średniej kategorii. Śniadanie wchodziło w cenę. Kiedy jestem w dobrym humorze nazywam Mążzonek oszczędny, a kiedy jestem zła – skąpy. Wieczorami jadaliliśmy w restauracjach, ale wszystko smakowało podobnie na skutek ogromnej ilości czosnku.

Już następnego dnia po przyjeździe wyruszyliśmy na zwiedzanie wyspy. Zabudowa szybko się skończyła. I co ujrzelismy? Jak wzrokiem sięgnąć sucha, spękana ziemia porośnięta karłowatymi krzaczkami na których tu i ówdzie powiewały plastikowe torebki. Powędrowaliśmy w stronę wybrzeża. Może plaża zrekompensuje poprzedni, deprymujący widok? Po mo białego piasku splukiwały wzburzone fale. O kąpiel nie było mowy. Popłynęliśmy po powrocie w hotelowym baseniku. Mijając po drodze inny hotel wdaliśmy się w rozmowę z paniami na tarasie. „Zazdrościmy wam. Zostajecie tylko tydzień, a my musimy się tu mordować przez całe dwa tygodnie”.

Będąc na plaży dostrzegliśmy na horyzoncie zarysy jakiejś budowli przypominającej zamek z wieżami. Wyjaśniono nam, że jest to luksusowy hotel i następnego dnia stał się on celem wyprawy. Przy hotelu wybrzeże zmieniło charakter. Pojawiły się niewielkie pagórki porośnięte zielenią. Morze było spokojniejsze, ale mimo to na wieżyczce ratownika łopotała czerwona flaga. Do hotelu wpuszczano tylko rezydentów. Na podobieństwo prawdziwego zamku, hotel był nie do zdobycia. Udało nam się jednak prześlizgnąć tylnym wejściem bez kontroli. Gigantyczny basen miał leżanki częściowo zanurzone w wodzie. Plażowicze relaksowali się w fotelach na ręcznikach łososiowej barwy. Natychmiast natknęliśmy się na rodaka. Są Polacy, którym stopa życiowa bardzo się poprawiła. Oczywiście zaproponował, że zaprosi nas na drinka. Oczywiście, że zamówi coś z baru gdyż hotel miał all inclusive. Ale nie! Przyniósł butelkę własnego koniaku. „Typowy polski snob” – pomyślałam sobie. Nie wystarczy mu to, co zapewnia hotel. Dopiero po pewnym czasie doznałam ośnienia. Nie należy częstować gości z zewnątrz darmowymi hotelowymi napojami. Pamiętam że sama, w podobnej sytuacji, zamówiłam płatne drinki dla naszych gości. Rodak wykazał się godną podziwu uczciwością.

Kilkaset metrów od miasta, na wschód od plaży, znajduje się cementaryzko muszli. Powstało ono w sposób naturalny, nie wiadomo dlaczego akurat w tym miejscu. Silne fale uszkadzają muszle. Trudno znaleźć niezerodowane okazy. Kilka muszli w dobrym stanie pojechało z nami do domu i teraz zdoła pójść w łazience.

Nadszedł dzień wyjazdu. Było pochmurno wbrew przekonaniu, że na wyspach Zielonego Przylądka zawsze świeci słońce. Kiedy nadjechała taksówka, która miała nas zawieźć na lotnisko, spadło kilka kropli deszczu. Kierowca, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu, włączył wycieraczkę przedniej szyby. Było to wiele lat przed anomaliami klimatycznymi wywołanymi globalnym ociepleniem.

Nie polecam nikomu wycieczki na Sal, chyba że prosto do ekskluzywnego zamczyska z all inclusive.

Teresa Urban

Polski Związek Medyczny w Szwecji, we współpracy z Towarzystwem Polaków "Ogniwo", zaprasza na spotkanie o tematyce medycznej, w lokalu "Ogniwa", Sysslomansgatan 8, T-Fridhemsplan.

W niedzielę 26 listopada o godzinie 14:00.

Prelekcja, kierująca katedrą gerontologii w Karolinska, profesor Doroty Religi
“Przejmij kontrolę nad swoim starzeniem się”

Przedstawiony zostanie japoński model Locomo. Poza tym omówione zostanie znaczenie ruchu, żywienia, kontaktów społecznych, zdrowia stomatologicznego i zmniejszenia ilości przyjmowanych leków w procesach starzenia. Po prelekcji pytania i dyskusja.



ADVOKATERNA BIGOSINSKI & BIGOSINSKA AB

SPRAWY rodzinne
gospodarcze - karne - pracy
budowlane - dotyczące najmu

Adwokat
Anita Bigosinska
Adwokat
Douglas Bigosinski
Senior advisor, adwokat
Andreas Bigosinski
Applikant
Wiktorija Moczek
Applikant
Tomas Lesniewski



TEL: 08-663 20 40
info@advokatbigosinski.com
VALHALLAVÄGEN 52
114 27 STOCKHOLM



Adwokat Monika Zytomierska

mówi po polsku.
Prawo karne, rodzinne,
socjalne i migracyjne
Pierwszy kontakt mailowy
lub telefoniczny
jest zawsze nieodpłatny.

STRONA INTERNETOWA:
www.advokatfirmanz.se/pl
TEL: 08-21 44 40
info@advokatfirmanz.se
ADRES: Östermalmsgatan 90
114 59 Stockholm



MBL Redovisning & Konsulting AB

- ▶ Księgowość, administracja, rejestracja wszystkich rodzajów firm.
- ▶ Doradztwo ekonomiczne.
- ▶ Sporządzanie årsbokslut, årsredovisningar.
- ▶ Sporządzanie deklaracji rocznych osób prywatnych i firm.
- ▶ Pomoc w załatwianiu spraw w urzędach szwedzkich.

Bożena Ziemia
Hästholmsvägen 28, 131 30 Nacka
Tel. +46 (8) 30 40 80
e-mail: bozena@mbredovisning.se



Jurek Hirschberg
tłumacz przysięgły
z języka szwedzkiego na polski
z języka polskiego i angielskiego
na szwedzki

070-626 38 34
jurek.hirschberg@hirschberg.se
www.hirschberg.se
Sportstugevägen 6B, 182 35 Danderyd



**Service, problemy
z przeglądem
technicznym, naprawy
powypadkowe,
elektryka i elektronika
samochodowa
ustawianie zbieżności**



Birka Bilelektronik Service
Sztokholm: Birkagatan 20 Tel: 08-34 15 68 (Andrzej)
boschbilservice@bredband2.com
pon-piąt. 9-17 (lunch 13-14)
www.birkabilverkstad.se

Nowy właściciel - warsztat z wieloletnim doświadczeniem



KANCELARIA PRAWNA jur kand Anna Cieślak jur kand Victoria Cieślak

Prawo rodzinne. Prawo spadkowe.
Prawo pracy. Oszkodowania.
Roszczenia. Spory cywilne.

Pierwsza porada bezpłatna.

Pomoc w kosztach sądowych.

T: 070 755 3810
T: 070 482 9975

anna@juristfirmancivia.com
victoria@juristfirmancivia.com
www.juristfirmancivia.com



KANCELARIA ADWOKACKA ADWOKAT JERZY MISIOWIEC

Sprawy cywilne, karne, rodzinne,
spadkowe, odszkodowania, zakładanie
i obsługa prawna firm, prawo pracy.
Pomoc w uzyskiwaniu zwolnienia z
kosztów sądowych (rättshjälp, rättsskydd).

Adwokatfirman
Jerzy Misiowiec AB
Krukmakargatan 33 A, 1/2 tr
118 51 STOCKHOLM
T: 08-679 65 31
Fax: 08-458 11 27

Polskie Towarzystwo Teatralne w Szwecji
zaprasza na przedstawienie

ANIA z Zielonego Wzgórza

w niedzielę 3 grudnia
na godz. 16.00 lub na 19.00

reżyseria
Ewa Nordin

w Teatrze Dieselverkstad
Marcusplatsen 17 w Sickla

Bilety 150 kr, płatność
swishem 123 141 92 17
informacja 070-761 46 36